DEPUTACJA SANDOMIERSKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez **Juljana Bartoszewicza.**

(*Ciąg dalszy*).

V.

Zostawimy ich w spokoju, a zajmiemy się troszkę archeologją dawnéj Warszawy, to nam potrzebne do dalszego ciągu opowiadania. Poznać musimy kilka jeszcze osób.

Na Miodowéj Przecznicy, na któréj stanął Chrapowicki, było już dosyć kamienic, ale zawsze wśród przeważającéj liczby ogrodów. Była to ulica łącząca wtedy dwie inne formujące się na przedmieściu, Senatorską która szła od zamku i Długą od kościoła św. Ducha daléj za Pijary. Dla tego nazywano ją Przecznicą, bo nie była wielką. Kiedyś w téj stronie przedmieścia najwięcéj osiadło piernikarzy z Torunia, ztąd nazwisko przecznicy, miodownikowskiéj, miodowniczéj, wreszcie miodowéj.

Od senatorskiéj ulicy idąc, spotykał przechodzień naprzód po lewéj ręce wspaniały pałac biskupów krakowskich, wewnątrz „bardzo szumny“ jak powiada Jarzemski. Budowała go królowa Konstancja Zygmuntowa dla syna Jana Olbrachta kardynała, dokończyli zaś Zadzik i Trzebicki. Za tym pałacem wznosiła się owa kamienica firlejowska, w któréj stanął Chrapowicki, a raczéj dwór z ogrodem, obmurowany, piękny, jasny, szeroką przestrzeń zajmował. Biskup krakowski Trzebicki świeżo kupił ten dwór, ale w nim jeszcze stary był porządek i gospodarowali Firlejowie. Daléj szedł domek Baryczków, możnéj rodziny mieszczan warszawskich, świéżo sprzedany przez nich Staniewiczowi, instygatorowi litewskiemu. Za ogrodem baryczkowskim wyglądało kilka drobnych dworków, od których poszła nazwa przecznicy, bo mieszkali w nich piernikarze i trudnili się swojem rzemiosłem. Za dworkami temi szły place i liche dworki, które świéżo zakupił pisarz polny litewski Aleksander Połubieński, w zamiarze wybudowania sobie pałacu, bo wtenczas panowie litewscy najczęściéj osadowiali się w Warszawie.



Pod słońcem nie ma piękniejszéj, mówił młodzian całując gorąco jéj ręce.

Potém szła większa świeżo wymurowana kamienica Stanisława Razickiego, sekretarza królewskiego, po za nią widać było przez bramę dworek modrzewiowy, w którym dawniéj stawał nieraz Sobieski hetman i marszałek, i w końcu ulicy naprzeciw pięknego kościoła pijarskiego okazały pałac wystawiony niedawno przez Adama Kotowskiego, stolnika wyszogrodzkiego, bardzo pobożnego i litościwego męża, dobroczyńcę szczególnego Dominikanów na Nowém-Mieście.

Ta lewa strona przecznicy przeważnie składała się z ogrodów, za to prawa więcéj była zabudowana. Wprawdzie naprzeciw pałacu biskupów krakowskich i kamienicy Firlejów

puste jeszcze były place, należące do zabudowań od Podwala, ale naprzeciw baryczkowskiego dworku stał śliczny dworek wdowy po Piotrze Elercie, który po Rynowskim i Trelpińskim drukował książki w Warszawie, konstytucje koronne i wiele innych pobożnych dzieł, mów, panegiryków, Philomachję Morsztyna. Za dworkiem Elertowskim wznosił się dwór zbudowany przez ks. Zadzika, biskupa i kanclerza w. kor. dla pieczętarzy duchownych, co świadczył położony napis na marmurze. Po wierzchu nie wyglądał ten gmach okazale, ale wewnątrz panował przepych, szumne oddrzwia, posadzki z marmuru, sufity w pięknych floryzowaniach, pyszne obicia, malowania wyborne. Od ulicy prowadziła wewnątrz wielka brama; zabudowania ogromne i rozmaite, stajnie i kuchnie dla służby nadawały zadzikowskim budowlom pozór miasteczka, które nieco zniszczyła ostatnia wojna szwedzka, ale które dźwigało się powoli, sam gmach główny tylko świecił ruiną. Za tym pałacem stał dwór Mokronoskich, niewielki, zbudowany niegdyś przez wojskiego warszawskiego, chędogo a z wielkim ładem, mógł za wzór służyć, powiada Jarzemski, tym ludziom, co na wielkich gruntach siedzą, a nie umieją z niemi nic zrobić. Daléj był dwór gdańszczan, obszerny, ozdobny, biało tynkowany; stał nieco w głębi wśród pięknego ogrodu, obfitego w drzewa owocowe i kwiaty. Na końcu ulicy oddzielony szerokim placem od poprzednich zabudowań wznosił się kościół i klasztor księży pijarów, także wśród ogrodów. Władysław IV sprowadził do stolicy ten uczony zakon, żeby nauczał żaków, i kiedy gmachy stanęły, z wielką uroczystością przyjechał sam na poświęcenie kościoła, w orszaku młodych kawalerów konno, świetnie ubranych. Królowa Cecylja-Renata przybyła w karecie, toż panie senatorowe; duchowieństwa było niezmiernie wiele. Niedawne to jeszcze były czasy i ztąd niekoniecznie starzy pamiętali tę świetną uroczystość.

Dziwne sprzeczności spotykały się na téj ulicy. Obok pałaców i dworków szlacheckich, w ogrodach tu i owdzie gęsto były gospody, w których i jeść i pić dostał podróżny. Mianowicie w lecie otwierały się altany. Wtedy do nich wstępowali i mieszczanie warszawscy i szlachta, która przyjeżdżała dla spraw swoich do stolicy, to żeby ochłodzić się smacznóm piwem garwolińskiém, to żeby o kłopotach domowych i o Rzpltéj pogwarzyć wesoło przy miodku. Nie jeden ze szlachty wracając do domu, szedł na Miodową ulicę, żeby nakupić pierników i przywieźć gościniec żonie i dzieciom. Był to więc niezmiernie ożywiony kąt przedmieścia i o każdéj porze, zwłaszcza po obiedzie, na Miodowéj Przecznicy można było spotkać ruch wielki, różnorodne postacie i stroje, a często przejeżdżały w jedną i drugą stronę powozy. Ruch ten trwał do późnéj dosyć godziny i ustawał całkiem o dziewiątéj wieczorem, bo władza marszałkowska dla utrzymania porządku i spokojności w mieście, kazała o téj porze zamykać wszelkie gospody i altany.

Były jeszcze dwa inne powody, które się wielce przyczyniały do powiększenia życia, jakie tutaj pospolicie po wsze czasy wrzało. W każdym prawie dworku przyjmowano gości przyjezdnych. Panowie wprawdzie coraz gęściéj budowali sobie pałace na przedmieściach warszawskich, i w nich za przyjazdem stawali ze swojemi dworami. Zresztą po pałacach zawsze było pełno ludzi, choćby i pan na wsi bawił. Za to ubożsi szlachta, czy to jako posłowie przyjeżdżali na sejm, czy to mieli swoje jakie sprawy w stolicy, najmowali sobie gospody, jeżeli nie mogli stanąć u znajomych. Każdy oczywiście szukał miejsca środkowego, zkądby wszędzie blisko było i ku temu celowi przedoskonale się nadawała Miodowa Przecznica. Dla tego w każdéj roku porze było tu ludno, gwarno i wesoło, ale podczas sejmu gości przyjezdnych taki tłum kręcił się po Miodowéj Przecznicy, że wyglądała na wielkie mrowisko. To ogólna charakterystyka téj strony przedmieść, od dawnego czasu jednostajna. Czasowe zaś i okolicznościowe te były, że na Przecznicy mieszkało wiele dworskich pań, francuzek, osieroconych po Marji-Ludwice.

Królowa umiała u nas zaszczepić polor salonów francuzkich i język swój narzucić społeczeństwu, które za wyższe uchodzić pragnęło. Pomagało do tego wprawdzie królowéj ogólne usposobienie wieku, w którym ton nadawać zaczął wszystkiemu Ludwik XIV, chociaż jeszcze król młodziutki. Dosyć, że dla przypodobania się królowéj, olśniony blaskiem dworszczyzny, nie jeden ze starszych senatorów probował chociaż słów kilka nauczyć się po francuzku, młodsze zaś pokolenie coraz więcéj przyzwyczajało się do tego modnego języka. Królowa przywiozła z sobą do Polski wiele panien znakomitego rodu, które potém wydawała z ochotą za mąż za panów koronnych i litewskich. Jedna margrabianka lub hrabianka została kanclerzyną, druga wojewodziną, trzecią hetmanową, Krasińską, Pacową albo Sobieską. Panny wizytki, których królowa sprowadziła z Francji i osadziła zaraz przy pałacu na przedmieściu, wychowywały córki z najznakomitszych domów polskich po francuzku. Ile tych panien margrabianek weszło do rodzin polskich jako żony i matki, ile tych młodych uczennic powróciło do domu jako córki, tyle królowéj przybyło ognisk, wśród których się rozwijało dworskie i francuzkie życie, świat modny, wysokiego nastroju w Rzpltéj. Najwięksi jéj nieprzyjaciele z powodu zabiegów elekcyjnych, przejmowali ten polor dworski, tę salonowość francuzką; nie ustępowali królowéj tylko na polu, na którém chciała własne przeprowadzać widoki.

Te panie dworskie, których tyle było w Polsce za Marji Ludwiki, prowadziły za sobą swoje własne dwory, chór, że tak powiemy niższy. Ochmistrzynie, garderobianny, panny do posługi były u nich francuzkie, przywiezione albo sprowadzone z Francji. Panie szły za mąż za senatorów, z chóru zaś tego niższego niejedna dostała się za mąż szlachcicowi, który szukał stosunków u dworu, albo bogatszemu mieszczanowi warszawskiemu, inne się porozchodziły po dworach w Koronie i w Litwie. Wiele z nich porobiło sobie stosunki i osiadło po przedmieściach Warszawy. Los właśnie zdarzył, że na Miodowéj Przecznicy mieszkało kilka takich francuzek, wdów albo mężatek z córkami. Zastęp ich powiększył się znacznie przez śmierć królowéj, bo niejedną oddalono ze dworu, drugie same się cofnęły, szukając zawczasu w stosunkach już dawniéj zawiązanych, innego sposobu utrzymania się i wpływu. Francuzka do wszystkiego się nałożyła, a umiała każda zręcznie z okoliczności korzystać, stroiła mieszczanki warszawskie, uczyła swojego języka, który coraz więcéj stawał się modnym.

Młodzież dworska chętnie wdawała się z temi francuzkami, bo i przystęp do nich był łatwiejszy i obyczaje więcéj pobłażliwsze jak u panien polskich, wychowywanych jeszcze podówczas w całéj grozie domowéj starodawnéj świętości. Ile to stosunków miłosnych wiązało się i rwało z tego powodu! Ojczysty obyczaj nie pozwalał na żarty w takiéj sprawie; tylko ten, kto rzeczywistą czuł skłonność do pięknéj dziewicy, mógł na nią oczy podnieść i starać się naprzód o względy jéj rodziców, a potém ukochanéj; ale francuzki były przebaczające, i zdarzało się nieraz, że kawaler opuszczał pannę, po wielu wymienionych z nią nawzajem czułościach, zdarzało się, że nawet po oświadczynach przed samym ślubem. Wesołość domowa tym wypadkiem zepsuta, po chwili zaczęła powracać i nowy romans zastępował miejsce starego.

Dla tego to młodzieży dworskiéj zawsze się dosyć uwijało po Miodowéj Przecznicy. Obecnie chwile sieroctwa królewskiego, widzieliśmy, rozpuściły nadzwyczaj tę młodzież. Za życia Marji Ludwiki rząd prywatnego dworu królewskiego sprawował Rej podskarbi nadworny i starosta nowomiejski, tylko co przed jéj śmiercią mianowany wojewodą lubelskim. Ale kiedy się oddalił ode dworu, wszystko było w rozprzężeniu i młodzież po raz piérwszy używała wolności w całém znaczeniu tego wyrazu, bo niczyje oko nad nią nie czuwało. Dopuszczali się też dworzanie wielkich w mieście swawoli. Buńczuczna ich mina, wysokie zarozumienie o sobie, z dworem bezpośrednie stosunki, wszystko to nadawało im znaczenie, z którego korzystali według usposobienia wieku i wrodzonéj wesołości. Nieraz nawet sama władza marszałkowska musiała ich poskramiać, a jednakże swawoli skutecznie powstrzymywać nie potrafiła.

VI.

Przez bramę pałacu Kotowskiego i potém przez obszerny dziedziniec, przechodziło się do dworku położonego nieco w głębi, wśród ogrodu. Dworek ten mały, drewniany, o niewielkiéj sieni miał kilka zaledwie komnat po obydwu stronach. Był niegdyś własnością rodziny Rudawskich i w nim to urodził się sławny pod owe czasy kanonik ołomuniecki historyk polski. Od Rudawskich wszystkie te zabudowania kupił Kotowski i wystawił na gruntach pałac, ale dworek zostawił, bo zobowiązał się dać w nim mieszkanie krewnéj dawnych właścicieli dożywociem, i po jéj dopiéro śmierci dworek z ogrodem przechodził stanowczo w ręce nowego nabywcy. Poznamy tę panią.

Była to kobiéta mająca lat blisko już czterdziestu, ale tylko bardzo wprawne oko mogło się tego wieku w niéj doliczyć. Wysoka, wspaniałéj twarzy, wcale nie źle jeszcze wyglądała, przytém zalotna i kiedyś bardzo piękna, a całe życie zakochana w sobie, umiała strojem i różnemi sposobami podnosić i tak niepospolite wdzięki. Pewno żadna z francuzek dworu Marji Ludwiki nie mogła jéj sprostać w tym względzie. Ubrana zawsze, powiemy, że nie ze starannością, ale nawet wykwintnie, chociaż zasłaniała się pozorem prostoty i skromności, była do tego wszystkiego kobiétą wymowną, słowo jéj lało się z ust swobodnie, potoczyście, zarówno tak francuzkie jak polskie, bo pani się miała za francuzkę, przynajmniéj każdemu o tém mówiła.

Nazwisko jéj przecież bylo niemieckie, von Hutten, nawet tytuł baronessy, który czasami przybierała, wyglądał więcéj na niemiecki jak na francuzki. Rozmaicie to o o tém mówiono. Nieprzyjaciele pięknéj pani, a miała ich nie mało z tego mianowicie względu, że się wynosiła nad innych, strasznie głową kiwali na te wysokie pretensje. Znaleźli się nawet i tacy, którzy ją sobie młodą dziewczynką przypominali, i wiedzieli, że była po prostu sierotą wziętą na wychowanie przez niegdyś sekretarza królewskiego Filipa Huttena. Złe języki odszukały nawet rodziców téj pięknéj pani w Warszawie i opowiadały, że Hutten wydobył ją z ostatniéj nędzy, znalazł w najskromniejszym dworku nad Wisłą. Inni dowodzili, że piękna pani była jakąś krewną żony owego Huttena, a wiadomo, że ta żona Giżanka z domu, wdowa po piérwszym mężu Rudawskim, pochodziła z mieszczan warszawskich i złośliwie przypominali Zygmunta-Augusta, który się kochał także w jednéj Giżance. Sto lat ledwie upłynęło od tych chwil, w których ostatni Jagielończyk dokonał życia i podanie o tych stosunkach królewskich z mieszczką było świeże.

Bądź co bądź, złośliwość ludzka ubliżała

pani Huttenowéj w różny bardzo sposób, więcéj z zamiaru, jak przez miłość prawdy. To pewna, że opiekun jéj Filip Hutten, lotaryngczyk, niemiec nazwiskiem, ale francuz całą swoją naturą, przyjechał do Polski razem z Marją Ludwiką, która szła za mąż za Władysława IV i że z koleją czasu zajął znakomite stanowisko przy dworze, bo został sekretarzem poufnym królowéj i piérwszy posiadał całą tajemnicę duszy Marji Ludwiki, wiedział o jéj planach, o zamiarach na przyszłość. Ożenił się w Warszawie z wdową po Janie Rudawskim, któremu Władysław IV za liczne i wierne posługi na dworze, dał przywiléj na szlachectwo. Został przez to ojczymem kanonika ołomunieckiego, który pisał historję swojego czasu, człowieka nad wszelką miarę próżnego i chełpliwego. Kanonik najwięcéj wpłynął na to arystokratyczne usposobienie naszéj pięknéj pani, którą daleki krewny jego ojczym sprowadził z Francji i poém wydał za mąż za jakiegoś także dalekiego synowca swego Huttena.

Kanonik Rudawski nie cierpiał Polski, lubo o niéj pisał. Powiadają, że starał się o kanonję krakowską i oczywiście jéj nie dostał, bo tam się trzeba było w kapitule wywodzić od czterech pokoleń szlachcicem. Zagniewany srodze na ten zawód, wyniósł się na Morawy pod opiekę domu rakuskiego, któremu się z najserdeczniejszą oddał wdzięcznością, że otrzymał od niego miejsce w arystokratycznéj również kapitule ołomunieckiéj. Będąc wcieloną próżnością sam sobie herby pisał i układał szlachectwo, żeby świat uwieść. Matkę swoją Giżankę wywiódł z Frankonji od znakomitego, jak mówił rodu Gizych i z chlubą się powoływał na Konstantego Gizę, który był pułkownikiem w cudzoziemskim zaciągu Rzpltéj. Ojca pomijał wprawdzie, ale za to chlubił się ojczymem, który był kawalerem złotéj ostrogi i posiadał po przodkach kiedyś rozległe dobra we Francji, ale je stracił w domowéj zawierusze, gdy stawał po stronie książąt lotaryngskich. I Gizowie i Huttenowie byli baronami według księdza historyka.

To pewna, że sekretarz królowéj Marji Ludwiki był człowiekiem zacnym i zdolnym, daléj że umierając bezdzietnym, cały swój majątek, który na usługach królowéj w Polsce zebrał, zapisał jedynéj krewnéj z przywiązania témbardziéj że w ciągu ostatniéj wojny szwedzkiéj straciła również męża, który poległ pod Grudziążem. Jakie tam było pożycie pomiędzy małżeństwem, trudno powiedzieć, bo piękna pani poszła za mąż bez żadnego przywiązania, żeby spełnić wolę swojego opiekuna. Ze zgorszeniem też opowiadano, że pani Huttenowa nie nosiła nawet roku żałoby po mężu i zrzuciła ją łatwo, bo począł się kręcić około niéj jakiś piękny wojewodzic, który jednak chciał się tylko bawić podczas krótkiego pobytu u dworu.

(*d. c. n.*)

O NAUCZYCIELSTWIE.

PRZEZ GABRJELLĘ Z G. PUZYNINĘ.

List młodego nauczyciela do siostry będącéj w tymże zawodzie (*).

.....Nauka podana z prawdziwą miłością znajduje tylko przyjęcie w młodych sercach, gruntownie się w nich zaszczepia, a w przyszłości obfite i zdrowe owoce przynosi. Bez miłości wszystko marnieje i niknie, świat tylko się miłością Bożą podtrzymuje w téj harmonji i porządku, jakie nas przywykłych do jego widoku wcale dziś nie zadziwiają. I ludzie pomimo koszlawienia i przeobrażenia miłości w najrozmaitsze a często w nader występne kształty, miłością gruppują się w rodziny, w narody, nakoniec w całą ludzkość. Józiu najdroższa! Odtrącaj od siebie wszelkie tęsknice i zwątpienia, modlitwa i praca niech dla cię będą ulgą i pociechą. Wszystkie nieszczęścia i utyskiwania biorą swój początek ztąd, że ludzie nie umieją, może nie chcą ukochać téj doli jaką Bóg im zsyła, że nie mogą często zrozumieć swego stanowiska. Dawno już powiedziano: Nie miejsce człowieka. ale człowiek miejsce zdobi. Uważ że niéma ani jednéj pracy, zajęcia, obowiązku, stanowiska, w téj szczeblowanéj drabinie społeczeńskiéj, gdzieby człowiek dobréj woli, czystéj miłości i nieskażonego sumienia, nie mógł być prawdziwie użytecznym Od nas tylko zależy poruczone nam prace, obowiązki i stanowiska, podnieść do prawdziwéj wysokości, zrobić je miłemi Bogu, użytecznemi ludziom i jednającemi nam zasługę. Wszak nie dla chwili żyjemy, wyroków Boga nie odgadnąć nam! Na jaką drogę Opatrzność wprowadziła ludzkość, po takiéj niech idzie, a w naszéj mocy i na naszéj

(*) Chęć rozpowszechnienia zacnéj myśli pokusiła nas do zdrady, udzielając listu tego bez wiedzy prawych właścicieli... ale ufamy że nam to i brat i siostra zechcą przebaczyć, a czytelnicy Kółka podziękują.
G. P.

odpowiedzialności leży to, by droga była coraz bliższą Boga, więc prawdą, cnotą i miłością. Ludzkość zataczając coraz obszerniejsze koła w dziedzinie ducha, przejawia się od chwili do chwili w coraz nowych, bardziéj żywych i silnych okręgach, a témi są wzrastające pokolenia.

Jakże przeto wielkiém i piękném musi być stanowisko tych, którzy stoją na straży wzrostu, kształcenia się i rozkwitania tych pokoleń?! Bo komuż powierzono owe orędownictwo nad temi pokoleniami?... Nauczycielom i nauczycielkom. Józiu! zrozumiej że nauczycielka to kapłanka przy ołtarzu ducha ludzkiego! kapłanka co odgarnia od młodych istot brud, mrok, a wléwa w nie światło, wiarę i miłość. Praca twoja nie dla kilkudziesięciu dni ani lat, przetrwa ona do końca świata, przejdzie w wieczność! O ile ukształcisz umysł i uszlachetnisz serca twoich uczniów, o tyle oni wpłyną na następne pokolenia, a te daléj i daléj. Może się mylę w pojęciu przyszłości, ale o ile rozumiem, o tyle ci je wyjaśnię.

Tak naprzykład, przypuśćmy że nasi rodzice zaszczepili tylko w nas czworgu moralność, cnotę, bogobojność. My te skarby nam zostawione rozdamy między tych z któremi obcujemy, lub których nauczamy. Niech ich będzie tylko 40 osób; te 40 już 400 ucnotliwią i uszlachetnią; 400 następnie 4,000, i tak daléj, i tak bez końca! Otóż tam w niebie, gdzie (jak mam nadzieję), rodzice nasi dziś mieszkają, mają rozskosz i szczęście raz w tém że są ciągle z Bogiem, a powtóre, że się cieszą tém coraz szerszém rozrastaniem ziarn, które zasieli w naszych sercach, a taka rozkosz coraz większa i pełniejsza.

Przeciwnie ci, którzy bądź niegodziwém i występném swém postępowaniem, bądź nauczaniem fałszu, zdrady, nienawiści i podłości zepsuli choćby kilka nieuformowanych serc, w przyszłém życiu stokroć silniéj poczują jak wiele zawinili Bogu, toż będą cierpieli ciężkie udręczenia nie widząc Boga, a pojmując jak wielką radość mają ci, którzy z Nim przebywają a powtóre, że występki i zbrodnie, które rzucili w czasie swego pobytu na ziemi, z każdym lat dziesiątkiem bardziéj a bardziéj rozrastają się i mnożą z ich ręki. Bo jeżeli dwoje dobrych i świętobliwych ludzi, przez swoje dzieci i wnuki w przeciągu stu lat wydadzą 4,000 zacnych, to dwoje złych ludzi, w tym samym przeciągu czasu zepsują 10,000. Czy zrozumiałaś mnie moja najdroższa, co chciałem przez te wywody dowieść tobie?... Oto chciałem ci pokazać w przykładzie, że twoja dzisiejsza praca nie ogranicza się tylko na twych uczniach, ale przez nich przejdzie w dalekie czasy, obejmie tysiące ludzi. Im głębiéj i silniéj twoje nauczanie i kształcenie umysłów i serc w twych uczniach zagości, tém w odleglejszy czas i w większą ilość jednostek przejdzie. Świat swemi cackami i błazeństwami łatwo szpeci najzacniejsze serca i bałamuci najsilniejsze umysły, toż jedno i drugie potężną i trwałą tarczą osłonić należy. Niech cię nie nudzi te moje mówienie, z miłości ku tobie podaję te uwagi, przejmij się niemi i zrozumiéj je, a twoje obowiązki, twoją pracę otoczą jasne, ciepłe i pocieszające promienie. itp. itp.

Obok listu młodego nauczyciela pojmującego tak pięknie swój zawód, warto wspomnieć że już przed 20tu laty w naszych stronach pomimo istniejących naówczas w całym uporze przesądów szlacheckich, kilka córek zacnych i zamożnych rodzin, obrało dobrowolnie zawód nauczycielski, nie będąc do tego zmuszone ani sieroctwem, ani skutkiem nieporozumień familijnych, ani też ekscentrycznością charakteru, jedynie z miłości pracy i chęci poświęcenia się, by udzielić drugim swoich wrodzonych zdolności i nabytego światła w staranném wychowaniu. Za ich przykładem uwieńczonym najpiękniejszym skutkiem, poszły niebawem drugie i coraz ich było więcéj, tak, że już nikt się temu nie dziwił, a dziś przy zmianie położeń, przy umniejszeniu tak znaczném fortun, widząc jak każda prawie rodzina umié sobie dać radę i pracy się nie wstydzi, obowiązkiem jest naszym odnowić pamięć założycielek téj zacnéj myśli obróconéj w czyn, tém śmieléj iż one już od lat kilku spoczęły w grobie, lubo tylko ciałem, bo zasługi ich przeżyły.

Piérwsza z najpierwszych była Idalja Czarnocka, wnuczka ostatniego tutejszego podstolego, drugą Izabella Wojniłłowiczówna, podkomorzanka. Obie rodem z ziemi wsławionéj pamiętnikami Soplicy i poematem pana Tadeusza, odziedziczyły i utrwaliły cnoty swych przodków z nad Słuczy i Niemna. One piérwsze zdobyły ów wał przesądów; źle mówię, dwa wały, jeden który się zwał dumą i fumą szlachecką, drugi może silniejszy jeszcze od piérwszego, miłości cudzoziemszczyzny i uprzedzenia do francuzek nauczycielek, bez których pomimo tak licznych zawodów i śmiesznych a nie raz fatalnych z tego powodu wypadków, żaden prawie dom obejść się nie mógł; a nie każdemu udało się odrazu dobrze trafić, témbardziéj że wielu, jak ów pan Nowina (stara komedja Juljana Ursyna Niemcewicza) szukało przedewszystkiém, aby *Madam* była poczesna i tania....

Pomówmy o ś. p. Izabelli. Ona to będąc w wieku, w którym inne panny myślą o wypoczynku i niezależności, z charekterem wybitnym, nieugiętym, z upodobaniami wkorzenionemi głęboko, zamiast się kwasić i dręczyć nadaremnie w bezczynności, chociaż kochana w rodzinie i wabiona z domu do domu na życie miłe i wygodne, po długim namyśle, bez rad obcych a stanowczo, zapragnęła pracy i poświęcenia, obierając na to zawód najmniéj dla siebie powabny. Tym co ją chcieli od tego kroku odwrócić, odpowiadała „że nie

może żyć bez obowiązku, i że w jéj przekonaniu tylko te są miłe Bogu, które nam samym są przykre.“ Na ten cel przeznaczywszy sobie lat dziesięć, przebyła ich siedm w jednym zacnym domu przy 4ch córkach, a ostatnie trzy w drugim, przy jedynaczce— kochana, przetrzymywana, żałowana w obu. W przeciągu tych lat nie raz śmiertelnie chora, jedynie siłą ducha i woli zwalczyła materję, z wielkim podziwem lekarzy, którzy widząc ją u kresu sił fizycznych zwątpili o życiu.

— Po ukończeniu tych lat 10ciu, które nazwać by można kampanją przeciw swojemu *ja*, ś. p. Izabella, zwycięzca swéj woli, osiadła w Wilnie, niezależna i swobodna, dodajemy śmiało, szczęśliwa, bo spełniając zadanie szlachetne zdobyła nie tylko miłość rodzin, którym się była poświęciła, ale szacunek ogólny i nadto jeszcze rzetelnego sama się nie spodziewała, co było rzetelną nagrodą jéj poświęcenia się, to zamiłowanie swego powołania. Owoc z gorzką łupiną okazał się słodkim wewnątrz... Pomimo tego ofiary przedłużać niechciała, nie mogła, potrzebowała wypoczynku i swobody. Po raz piérwszy w życiu mieszkając sama, pani swéj woli, swego czasu, nie mogła się tém dosyć nacieszyć! Zezwalała wprawdzie niekiedy na wyjazd do krewnych na święta i wakacje letnie, ale swego kąta, swojéj niezależności, za nic już oddać nie chciała. Te skarby były tak drogo okupione, czuła ich całą wartość, czuła się godną téj nagrody jak żołnierz uwolniony z pod broni, a jednak wierna jak on swéj chorągwi, nie uznawała siebie w prawie zupełnego wypoczynku. Nie zmęczona nie nasycona pracą, szukała uczennic za domem i miała ich kilka, cały ranek przechodził jéj w kościele i z uczennicami, wieczorem udzielała się czasem towarzystwu. Tak upłynęły trzy lata, a ś. p. Izabella pracując nad siły i tając swe okropne wewnętrzne cierpienia przed najbliższemi sercu, doniosła z Szymonem Cyrenejczykiem krzyż Chrystusowy aż na sam szczyt Kalwarji... Śmierć jéj była piękną i surową jak jéj żywot. Spowiedź z całego życia (nie raz już odbyta), ostatnie olejami śś. namaszczenie, testament którym zapewniała los krewnym i biednym, oto były jéj ostatnie czynności na téj ziemi. Szlachetna jéj praca miała cel podwójny: uzacnianie jéj saméj za życia, a po śmierci korzyść naukową biédnych panienek. Grosz uzbierany kosztem zdrowia i swobody, zaoszczędzony ofiarą upodobań i wygód w ostatniéj chorobie, powierzony w ręce krewnych unieśmiertelnia poświęcenie się Izabelli. Odradza ją w młodém pokoleniu i sprawdzają się na niéj wyrazy św. Pawła: Wesel się niepłodna, zakrzyknij a zawołaj i t. d....

Ś. p. Izabella umarła w 1859 roku, mając lat 52, z których ostatnie 13cie użyte i zużyte były w najszlachetniejszéj pracy. Wilno zachowało pamięć téj postaci, która należy do znakomitości naszych i dotąd kiedy jeszcze się zbierze towarzystwo w którém bywała, miejsce ś. p. Izabelli stoi pustką, czujemy jéj brak, i za każdą wzniesioną kwestją wywołującą sprzeczne zdania, staje przed nami ta para oczu badających, uważnych, które ciekawość roztwiérała, w których świeciła dusza ognista jak płomień niezgasłego pożaru w oknach zniszczonéj budowy.... Izabella czuła głęboko i żywo—pani swéj woli, nie była panią swych poruszeń; dysputa unosiła ją zapałem młodzieńczym, umysł jéj badawczy który ciągle kształciła i ożywiała czytaniem ksiąg poważnych i gazet, lubił szperać, badać i zaciekać się, sprzeczka była jéj żywiołem. . tam znajdowała oświecenie i odpowiedź na pytania i zarzuty, któremi zasypywała teologów i uczonych, jak owe sławne niewiasty z pierwszych wieków Chrześcijaństwa, korespondujące przez morze ze Św. Hieronimem i Augustynem. Nad jednym częstokroć ustępem, nawet słowem, dumała dniem i nocą nie poprzestając na prostém wytłumaczeniu rzeczy. Urodzona z duszą ognistą, ale wychowana religijnie i w zasadach staroświeckich, umiała pokonać najsilniejsze uczucia i niemi kierować roztropnie i mężnie.

Rodzeństwo i krewni byli u niéj zawsze pierwszemi — łzami radości i najżywszego współczucia witała każdą pomyślność siostr i braci swoich, czuła mocno ich niepowodzenie, cierpiała szlachetnie za odkryciem *by najmniejszéj* wady ich charakteru lub postępowania, wpływając na nich radą i silną perswazją. W przyjaźni stała i niezmienna, pomimo obojętności jaką znalazła w jedynéj przyjaciołce, nigdy po sobie nie dała poznać że się tego domyśla, nie dopuszczając aby drudzy ją w tém oświecili. Z miłości zaś (a kochała silnie wybranego sercem), uczyniła ofiarę ojcu swemu, który bronił tego związku nie wróżącego (jak mu się zdało), szczęścia ukochanéj córce. Od téj chwili życie ś. p. Izabelli było ciągłą ofiarą. Zmuszona wyrzec się szczęścia na ziemi, postanowiła zdobyć niebo, a to przez poddanie woli własnéj pod obcą, co było dla niéj najtrudniejszém! Od dawna uważała ona to życie za przejście, za popas, nie lubiła zbytku, umiała poprzestać na małém. Punktualna, sumienna i przewidująca umiała się obrachować w jednéj chwili tak z grosza, jak z najmniejszéj myśli. Tak jéj łatwo było się zbadać, postanowić i wypełnić co zamierzyła i Bóg jéj w tém widocznie dopomagał, bo w miarę jak się stawała surowszą dla siebie, łagodniał, miękł jéj charakter dla drugich. Stawała się coraz milszą, coraz czulszą i była téż coraz więcéj szanowaną, kochaną i cenioną nie tylko od uczennic i matek, ale młodzież męzka tak zawsze stroniąca od panien nie młodych, nie pięknych i uczonych, z największém uwielbieniem była dla ś. p. Izabelli.

Pamiętnik jéj pisany od lat młodocianych, zachował wierny obraz téj niepospolitéj duszy, jak odcisk w lawie na gorąco wylany i zasty-

gły, ale zbyt sumienna ręka siostry, znalazłszy po śmierci ś. p. Izabelli tę spowiedź czystéj ale gorącéj duszy, przez zbytek skrupułu zniweczyła! W miejscu więc posągu pełnego życia i prawdy, cień tylko ś. p. Izabelli znajdą czytelnicy Kółka w téj bijografji, którą wypisała prosto z serca w 6tą rocznicę jéj śmierci, 24 sierpnia 1865 r. przywiązana jéj krewna.

ILLUMINOWANIE DAWNYCH RĘKOPISMÓW.

Dawne rękopisma opowiadające nam minione niepowrotnie dzieje narodu, są, jak powiedziano słusznie, tém w bibliotekach, czém marmurowe pomniki w świątyniach naszych. Księgi te ożywiają częstokroć piękne rysunki wykonane biegłą i cierpliwą lata i dziś jeszcze przedstawiają się w całéj swéj świeżości i wdzięku. Najpiękniejsze rękopisma illuminowane pochodzą z XIV i XV wieku. Pomiędzy zdobiącemi je bogactwy Fauny i Flory, napotykamy nieraz misterne arabeski, mogące służyć za wzór do haftów na



ręką pracowitych przepisywaczy, w których niewiadomo niekiedy, co pierwéj podziwiać, czy bogactwo fantazji rysownika, czy mistrzowskie wykonanie. Złoto miesza się w nich razem z najświetniejszemi barwami, aby odwzorować ptaki, zwierzęta, drzewa, kwiaty i ludzkie postacie. Nie zbladły one przez długie wzór tego, który w drzeworycie naszym oplata maleńką postać człowieka. Rysunek ten, wyjęty ze starego rękopismu biblioteki w Harlem, ma przedstawiać wizerunek Ryszarda Talton, słynnego naprzód trefnisia, a następnie artysty dramatycznego na dworze królowéj Elżbiety.

USTĘP O PANI TWARDOWSKIÉJ.

z powieści pod tytułem:

KRÓLOWA WOŹNA ALBO ZŁOTE JABŁKA.

przez Gustawa Olizarowskiego.

(z pieśni 8méj).

I.

Gdzieś, kiedyś, jakimś niezwyczajnym trafem,
W rodzaj wieszczego obłąkania wpadłszy,
Ślub uczyniłem przed prawdy Serafem....
Choć to dziwactwem poetyczném patrzy,
Któreby słuszna zakurzyć wagsztafem....
Lecz że się stało, a zatém: raz, dwa, trzy!...
O ty! co wolisz ciągle mieszkać w niebie,
Sprawiedliwości! wznoszę głos do ciebie.

II.

Tak jest, do ciebie głos mój śmiały wznoszę:
Wzywam cię! przybądź otwarcie lub skrycie!
Wszystko mi jedno,— przybądź tylko proszę.
Zechcesz, zataję twoje tu przybycie;
Zechcesz, przez pisma publiczne ogłoszę.
Mnodzy zwątpili już o twoim bycie,
Na twojém miejscu w moc szatańską wierzą;
Niechże się w piersi nareście uderzą.

III.

O! przybądź! przybądź! na kolanach wołam,
Czuję się pewnym że cię nie obrażę,
Mamońskich rzeczy dać tobie nie zdołam,
Ale ci serca niektóre pokażę.
Są!... Jeśli kłamię, loty moje połam!
O! są, są serca, są twoje ołtarze!
Nawiedź je! pokrzep tą nadzieją błogą:
Że twego czasu doczekać się mogą.

IV.

Przybądź! potrzebnaś, i bardzo potrzebna.
Stań tylko na téj wysokości świata,
Gdzie się granica poczyna odniebna,
Gdzie z milionami próśb i westchnień lata
Człowieczych duchów gromada drużebna;
A wraz się dowiesz: jak świat z tobą splata
Potrzeby swoje. Już on ma szatana
Wyżéj piramid. Przybądź obiecana!

V.

Prawda, że granic skróś interes strzeże;
Że jeszcze wszędy pogańsko i kramnie;
Że cię świat nigdy nie przyzywał szczerze.
To nie dla świata, ale przybądź dla mnie,
Dla mojéj Muzy, dla któréj w ofierze
Tyle krzywd znoszę... Dozwól mi przynajmniéj,
W imieniu twojém odezwać się w sprawie
Także skrzywdzonéj,— lecz tylko na sławie.

VI.

Klientką moją jest pani Twardowska,
Mickiewicz djabła tylko nią wystraszył,
I na tém uciął; słuszna zatém troska:
Za co w domysłach resztę prawdy zaszył?
Dla czartów jejmość istna kara boska;
Dziwo! — dla męża, którego wieszcz zbaszył,
Zjunaczył, zsmieszył, gmin zczarcił,—dla męża
Ewa bez wdzięków, lecz téż i bez węża.

VII.

Widziałem jejmość w polskiém malowidle;
I w wyobraźni i we śnie widziałem.
I mógłbym, o tém na djabły straszydle,
Dostawić tomów ze cztery... Wolałem,
O Zabłockiego pomyślawszy mydle,
Z spekulacyjnym wstrzymać się zapałem,
I dla klientki, po prawie, po cześci,
Epizodyczne miejsce dać w powieści.

VIII.

Była to wzrostu średniego kobiéta;
Piwonja twarzą, oczyma orlica,
Gębą przekupka; tuszą znakomita;
Godna małżonka polskiego szlachcica,
Duszą wyniosła a w cnoty okwita.
Miała przywary: gderalska, kłótnica,
Lubiła wprawdzie ze płcią swą gawędzić;
Wolała jednak kłócić się lub zrzędzić.

IX.

Miała przywary: lat miała za wiele,
Jak na kobiétę: choć tego nie można
Rozpoznać było ani po jéj ciele,
Ani po zębach, ktore nieostrożna
Pokazywała w obec wszystkich śmiele;
Ani po włosach, w które się wielmożna
Nie wdała jeszcze srebrna ręka czasu,
Szanując gęstość tego czarno-lasu.

X.

Skalista w wierze, w nabożeństwie pilna,
W kościelnych wszelkich praktykach surowa,
W uczuciach żywa, w zdaniu nieomylna,
Które w prostackie odziewała słowa;
Zdrowa, ruchawa, sprężysta i silna,
Zdanie popierać pięściami gotowa,
Prawdę mówiła w oczy i z odwagą:
Stała się grozą, stała się powagą.

XI.

Oświadczyć przeto wypada na dobie,
Że wieszcz litewski, na korzyść ballady,
Krzywdę wyrządził szanownéj osobie;
Osobie godnéj wejść między przykłady.
Chociaż wdziękami płci swéj ku ozdobie
Nie mogła służyć; chociaż miała wady;
Lecz miała cnoty, jakichby jéj sama.
Pozazdrościła małżonka Adama.

XII.

Nieszczęście chciało żeby w czarciéj mocy
Uwiązł Twardowski; lecz téż szczęście chciało
Żeby do wiecznéj nie dostał się nocy,
Twardowskę przeto w małżonce mu dało.
Dziwaczka, jeździć nie chciała w karocy,
Mieszkać w pałacu, ni się okazałą
Otaczać służbą, ni chodzić w bławatach,
Ni w koronkowych, ni w złocistych szatach.

XIII

„A mnie to na co! — powiadała w gniewie,—
„Dla kogóżbym się stroiła? dla Boga?
„Czy mnie Bóg nie zna? Czy on tego nie wié,
„Że ja Twardowska, szlachcianka uboga?
„W ziarnie jest wartość zboża a nie w plewie.
„Wązka do nieba na karoce droga;
„Najwygodniejsze w drodze téj łachmany,
„Nie tam się widzą strojne koczkodany.

XIV.

„A mnie do czego dworskich barwne roje?
„Do czego jakieś pańskie tam pałace?
„Czy w naszym domku ciasno na nas dwoje?
„Człowiek stworzony na troski, na prace.
„Ja o bogactwa bynajmniéj nie stoję;
„I pewno dla nich cnoty swéj nie tracę.
„Żyję dla Boga, dla ciebie, dla siebie,
„A nie o świecie, lecz myślę o Niebie.“

XV.

Mąż usiłował pokonać dziwactwa,
Różnych sposobów z przyjacielem użył,
By w żonie zbudzić pociąg do bogactwa,
Ale tu żaden sposób nie posłużył,
Przeciwnie, odkrył piekielne matactwa;
Czem tak pobożną niewiastę oburzył,
Że, jak niepyszny, pójść precz Mefistofel,
A mąż się ugiąć musiał pod pantofel.

XVI.

I ten pantofel zdziałał to nareście,
Czego święcona nie zdołała woda.—
Tubym chciał opiać tryumfy niewieście
I marzy mi się monstrualna oda,
W sto strof oktawnych, albo téż i w dwieście;
Ale że... *ergo* tandem tedy... szkoda!
I lepiéj zrobię, jeżeli pochwalne
Odtrącę rymy, a satyrę palnę.

XVII.

Dobrze. Cóż potém? Dajmy, że zawita
Satyra *nec plus*: wewnątrz gorzka, ostra;
Zewnątrz wdziękami dowcipu pokryta,
By *żony modnéj* nieodrodna siostra.
Dajmy, że każdy, każda ją przeczyta;
Że ją pochwalą trybuny i roztra,
Trony, kazalnie, katedry i bióra;
I że jéj nawet tłumy wrzasną: hurra!

XVIII.

Cóż ztąd? czy Rzymian poprawił Horacy
Albo Juwenal? Kogóż nie rozśmieszył,
Kogoż poprawił Krasicki Ignacy?
Któryż satyryk kiedy się pocieszył
Ze słów nie marnych, z nie daremnéj pracy?
Który zwątpieniem wreście się nie przeszył?
Mamże ja tuszyć: że, kiedy zawołam,
Źle panie robią! poprawić je zdołam?

XIX.

Choćby mi prawdę przyznano wspaniale;
Choćby się ze mną zgodzono, jak sądzę,
Na skutki grzechów; choćbym zbudził żale,
Czyliżbym uspił smutki, nudy, żądze?
A pycha stara? a próżność? a ale?..
A czy ja bocian? Czy ja sam nie błądzę?
Pocóżbym w prace wdawał się Alcyda?
Może dla sławy? już lepiéj dla żyda...

XX.

Nie głupim! Do was, Pszonki i Szubrawce,
Odsyłam satyr przyczyny i skutki.
Ja wolę oto bawić się w latawce,
W mydlane bańki lub karciane budki,
Wolę, dla zmiany w samotnéj zabawce,
Z tureckim dymem puszczać na wiatr smutki;
Czytać powieści, albo z koziéj skóry.
Dobywać głosy, wieszczych głosów wtóry.

XXI.

Wolę naprzykład dumać o fanbryfie,—
Wszakże przed myślą banknot staje częściéj?
Lub na pegazie albo hyppogryfie,
Latać na zwiady w różne świata części:

To ku Kamczatce, to ku Teneryfie;
To tam gdzie Hekla; to gdzie gwiazd się gęści
Rój niezliczony w nadpowietrzną szosę,
Lub gdzie komety błądzą długowłose.

XXII.

Albo na księżyc dostawać się wolę;
I jako Hamlet nad Yoryka czaszką,
Hołd ponowiwszy romantycznéj szkole,
Filozofować nad jaką tam flaszką
Pełną rozumu; a topiąc wzrok w dole,
Nazwać igraszką świat ludzki, lub fraszką,
Światkiem drobniuchnym w światów rojowisku;
Lub widowiskiem o jakiemś nazwisku.

XXIII.

Wolę, wrócony na zwyczajne życie,
Kwiaty siać, zbierać, układać.... Cóż jeszcze?
Z kanarkiem igrać, gadać jako dziecię;
Mieć sny edeńskie lub rojenia wieszcze;
Flamandzki nektar łykać smakowicie; (*)
I czego na téj karcie nie zamieszczę,
To jeszcze wolę.— Czas z braćmi się złączyć;
A ztąd wypada o Twardowskich skończyć.

XXIII.

Wiadomo jakim Twardowski fortelem,
Przygotowanym przez panią Twardowską,
Rozstał się w karczmie ze swym przyjacielem;
Jak się wybieżał przed mocą czartowską.
Lecz chocia rozbrat miał z Mefistofelem,
Chocia z niemałą w dalszém życiu troską,

(*) *Faro*, piwo brukselskie, ulubione przez Flamandów.

Starał się dostać do łaski ogrójca:
Do czysca wyrok skazał go Wszechojca.

XXV.

Wtedy to zacna białogłowa rzekła:
„Przysięgłam wiecznie żyć z Twardowskim [spólnie;
„Pójdę z nim tedy chociażby do piekła.“
Poszła do czysca; i tam dobrowolnie,
Srodze się tłukła, kłuła, siekła, piekła.
A co się chłośnie, przypiecze lub kolnie,
Zawoła: „Panie! to za męża, Panie!
Lecz niech się wedle twojéj woli stanie.“

XXVI.

Podobała się ta pokuta Panu:
Czyscowe męki przemienił na leksze.
A że nie może wejść do Bożostanu
Dusza, dopóki zmaz z siebie nie zetrze,
Do promiennego nie powróci stanu:
Przeto pozwolił przenieść się w powietrze,
I tam się w dusznéj wyrabiać czystości,
Aż do promieni, aż do edeńskości.

XXVII.

Czy się oczyścił, przed obliczem pańskiém,
Duch czarnoksięzki? Czy się jeszcze błąka
Z innemi duchy w świecie ossiańskim?
Czy wisi w niebie postacią pająka—
Jak to się widzi oczom zabużańskim?
Nie chcę zgadywać — by nie puścić bąka;
Wolę zaczekać: może od stron boskich
Duch jaki wieść da nową o Twardowskich.

Czarownicy w XVI wieku i ich obrońca
Jan de Wier.

(Dokończenie).

Jan de Wier, przezwany od spółczesnych pogardliwém mianem „adwokata czarownic“ urodził się w r. 1515, w pewném małém miasteczku w Hollandyi. Podrósłszy, uczył się medycyny od niejakiego Korneljusza Agryppy. Ten ostatni przybywszy do Francji poświęcił się mistycznym mrzonkom alchemji. Wypędzony z Francji przez rząd tameczny, błąkał się po Anglji, Włoszech i Niemczech, gdzie w końcu wstąpił w wojskowe szeregi. W kilka lat późniéj, porzuca stan wojskowy i staje w obronie biednéj kobiety posądzonéj o czarownictwo, sąd uwalnia obwinioną, ale prześladuje i ściga obrońcę, który zmuszony jest uchodzić do Frejburga, ztąd znowu powraca do Francji, gdzie zostaje lekarzem królowéj Ludwiki Sabaudzkiéj, matki Franciszka Igo. Zmuszony znowu opuścić Francją, z powodu zajścia z jednym z książąt rodziny królewskiéj, pędzi życie tułacze, pojawia się w Niemczech, gdzie opisuje dzieje cesarzy germańskich, a w końcu umiera w Grenobli. Uczniem tego burzliwego człowieka, był Jan de Wier. Nauczywszy się medycyny u swego mistrza, udał się do Paryża, aby wyższe wykształcenie w sztuce lekarskiéj pozyskać. Następnie wy-

biera się w podróż do Afryki, dopływa aż do wyspy Kandji, gdzie bawi czas jakiś, a potém wraca do swéj ojczyzny. Pewien mały władca udzielny niemiecki, książe Kliwji, obdarowywa go posadą dworską, na któréj do końca życia pozostaje.

Oprócz wielu prac treści czysto lekarskiéj Jan de Wier napisał dzieło p. t. De *prestigiis demonum*, w którém więcéj znać wymowy i szlachetności, niż nauki; broni w niém z zapałem opętanych przez djabła, stara się wyrwać z rąk sądów i katów nieszczęśliwe, biedne, stare niewiasty schorzałego umysłu, posądzone o czary. *Wier* ma wszakże swoją odrębną teorję o djable i o opętaniu. Wierzy wpierwszego, nie przeczy i drugiemu, ale najmocniéj powstaje przeciw możliwości zawierania umów z szatanem. Biedne opętane są zupełnie podług niego bierne. Djabeł przez wrodzoną złośliwość swoję wkrada się tylko w ich umysły, i każe im wierzyć że popełniły zbrodnie, których zupełnie są niewinne. Jakkolwiek skromną była, jak widzimy, teorja Wiera, przyczyniła się w swoim czasie wszakże wielce do postępu prawdy i sprawiedliwości i narobiła dużo hałasu. Pięć wydań dzieła wkrótce wyczerpnięto i przełożono na obce języki. Gwałtownie powstawało wielu prawników uczonych i filozofów spółczesnych na zasady w książce téj wyłożone. Jakto? woła z całą naiwnością jeden z poważnych sędziów spółczesnych, czyżby nadal ani jedna czarownica nie miała być spaloną na stosie? Zarzucano Wierowi że był uczniem Agryppy, który sam był czarownikiem, ponieważ miał psa czarnego, i nazywał go *panem* (monsieur), a pies ten po śmierci Agryppy rzucił się do rzeki i utonął. Na szczęście dla samego Wiera, zarzut że mistrz jego pozostawał w stosunkach z djabłem, był jeszcze niewystarczającym aby i ucznia uznać za czarownika. Wpływ Jana de Wier był znaczny, nie był wszakże tak wielkim, jakby to przypuszczać można, ani tak dobroczynnym jakby to się wydawać mogło. Długo po nim wierzono jeszcze w czary, w opętanie od djabła, więżono i dręczono biedne obłąkane niewiasty. Potrzeba było dwóch wieków czasu, aby znakomity lekarz chorób umysłowych we Francji Pinel, podał dłoń Wierowi i zrzucił pierwszy kajdany z rąk nieszczęsnych chorych, najniesłuszniéj potępionych przez społeczeństwo ciemne i nieukształcone. Możnaby zarzucić Wierowi, że za mało wpłynął na ówczesny stan umysłów. Ale z drugiéj strony należy się zastanowić jak głęboko szkaradne przesądy były zakorzenione w umysły ówczesne. Postępowanie sądowe było zupełnie oddzielne dla spraw o czarownicach, które miały być sądzone prędko i bez rozgłosu, a zatem bez obecności obrońców. Posądzeni o czarownictwo byli aresztowani na najmniejszy zarzut. Nazwisko niezwykłe, bywało czasami dostatecznym powodem do obwinienia. Jeden z sędziów ówczesnych dowodził, że kobiety więcéj są podległe opętaniu niż mężczyzni, ponieważ po łacinie wyraz kobieta *faemina*, pochodzi od wyrazów: *fides minor* (wiara mniejsza). Kobieta przeto mając mniéj wiary od mężczyzny, łatwiéj ulega pokuszeniom szatańskim. Drugą oznaką czarownictwa była bladość oblicza, szpetność twarzy, niechlujność i nędza wielka, djabeł bowiem nie dotrzymał umów tym, którzy je z nim zawierali, dając często złote dukaty, nazajutrz zamieniające się w liście zasuszone. Przewaga kobiet opętanych tak była znaczna, że na tysiąc czarownic, przypadał jeden zaledwie czarownik, w czasach największego prześladowania posądzonych o stosunki z djabłem. Obwinionych o czary wrzucano w brudne i ciemne lochy, głodzono, dręczono w najokropniejszy sposób. Czarownice, które nie chciały się dobrowolnie przyznać do zarzuconych im zbrodni, zmuszano do wyznań torturami, odgniatano im żelaznemi kleszczami ręce, nogi,— lecz lepiéj rzućmy zasłonę na owe okropności, których wspomnienie jak ciężka zmora wśród snu przedstawia się każdemu śmiertelnikowi, żyjącemu w XIX stuleciu. i zaprawdę niedozwala godzić się na starą przypowieść o dobrych dawnych czasach. Postęp pojęć choć powolną, a często na pozór wsteczną przybiera drogę, nigdy wszakże nie cofa się w tył, stając ciągle za dowód, że dzisiejsze wyobrażenia o uszanowaniu praw człowieka, są doskonalsze od tych jakiemi rządzone były umysły przed kilkoma zaledwie wiekami.

St. Ch.

STRÓJ DAWNYCH NIEWIAST POLSKICH.

WIEK XVI.

Anna Magdalena z Radziwiłłów Buczacka.

Włosy utrefione wymykają się z pod czarnéj aksamitnéj czapeczki oszytéj jedwabną de Venise). Stanik aksamitnéj sukni naszywany złotem i drogiemi kamieniami. Rękawy



(Rysunek wzięty z dzieła Wobego).

frendzlą. W pośrodku głowy grzebień złoty zdobny klejnotami. Na szyi sznur pereł; po niżej kołnierz z koronki weneckiéj (guipure z rozcięciami (krewetami), z pod których przegląda biała jedwabna materja.

LIST OD PANI ELEONORY ZIEMIĘCKIÉJ. (*)

Życzyły sobie szanowne redaktorki Kółka, abym się czasami odzywała jako korespondentka ich pisma. Otóż w tych dniach rzeczywistość, zwykle cicha i jednostajna około mnie, dostarczyła mi wdzięcznego materjału do spełnienia tych życzeń.

Był to dzień św. Teressy, patronki ochmistrzyni stojącéj na czele pięknego zakładu, panny Teressy B. z którą oddawna wiąże mnie ścisła przyjaźń. Liczne grono uczennic dawnych i teraźniejszych zgromadziło się około swéj przewodniczki, któréj najczulsze składały życzenia. Ale co stanowiło główne tego faktu znaczenie, to to, że czasowo bawiący w Warszawie znakomity nasz poeta p. A. E. Odyniec streścił je w wierszach pełnych czucia i myśli. Każda nauka przedstawiona tu jest osobną niejako strofą, którą z kolei deklamowała coraz inna uczennica. Z części tych utworzyła się całość pełna wdzięku i harmonji, jak to sami czytelnicy osądzą.

(*) Oddając hołd znakomitym piórom które nam udzieliły ten ustęp, drukujemy go chociaż nie zupełnie odpowiedni do ram naszego pisma. (*Przyp. Red.*)

Wstęp.

Nauki jako promienie
Wchodzą w duszę. Gdy ją wzruszy
Uczucie — każde wzruszenie
Jak promień wychodzi z duszy.
Gdy się więc dziś nasza dusza,
W dzień twego pani imienia,
Najsłodszém uczuciem wzrusza,
Miłości i dziękczynienia:
Nie dziw, że każda nauka,
Jak na nas spływa przez ciebie,
Tak w nas też wzajem dróg szuka
Aby ci złożyć hołd z siebie.

Religja.

„Czcij i kochaj rodziców!“—rzekł Ojciec Nie- [bieski,
W Zakonie, co nam raczy wykładać ksiądz [Brzeski,
I co my, dzięki jemu, coraz głębiéj czujem.
Jak więc nieraz za przeszłość wstydząc się [żałujem
Wszelkich fochów, kaprysów, z mamą albo [z tatą,
I widzim, że nas słusznie w kąt stawiano [za to:
Tak dzisiaj, gdy z dobroci twéj, a z woli [Boga,
Ty nam miejsce rodziców trzymasz pani droga,
Od ciebie téż poprawę naszą zaczynamy.
Wszystkie cię całém sercem czcimy i ko- [chamy,
A starać się będziemy pilnością i pracą,
Byś nigdy w kąt nas stawiać nie znalazła [za co.

Moralność.

Cześć i wdzięczność na zawsze Klementynie [z Tańskich,
Autorce „Powinności niewiast chrześcijań- [skich.“
Cześć ci i wdzięczność, pani, co nam z nich [moralność
Wykładasz, a przykładem stwierdzasz cnót [realność.
W obejściu twém widzimy łagodność i tkli- [wość,
W pracy twéj, poświęcenie dla nas i cierpli- [wość.
W upomnieniach twych, słuszność i dobroć [anielską,
A w opiece nad nami czułość rodzicielską.
Czemże ci to odpłacim? Rozdział „o wdzięcz- [ności,“
Uczy nas, jak dopełnić świętéj powinności.
Za trud i znój rolnika, ziemia tylko wza- [jem
Odpłacić może kwiatów i zbóż urodzajem.
Więc i my dziś ślubujem pani naszéj drogiéj,
Że wszystkie jéj nauki, rady i przestrogi,
Tak przyjmiem do serc naszych, jak ziarna [grunt żyzny,
Na plon ku chwale Boga, a posłudze bliźniéj.
A ty błogosławieństwem pokrzep nas matczy- [ném,
Byśmy tę obietnicę ziścić mogły czynem.

Psychologja.

Psychologja, mistrzyni
Tajników serc i dusz ludzi,
I naszych dziś przegląd czyni,
I życie ducha w nich budzi.
A że duch dobry i święty,
Że rodem z górnéj krainy,
Rzecz pewna; — zły i przeklęty
Bałby się panny Lucyny. (*)
A zresztą, cóż on sam niesie?
Oto najświętsze swe dary:
Miłość ku pannie Teressie,
Wdzięczność za wszystkie ofiary,
Co dla nas czyni i znosi;
I w końcu nadzieję rodzi,
Iż wiara nasza uprosi,
Że Bóg ją za nas nagrodzi.

Hygiena.

Szlachetne zdrowie, dar Boski!
Wartości jego i ceny,
Szanowny nas Pan Grabowski (**)
Uczy w kursie hygieny.
A że w tém także uznajem
I twoję o nas troskliwość,
Przyrzekamy ci więc wzajem
Ostrożność i wstrzemięźliwość.
Po walcu albo mazurze
Pod sekretem nie pić wody.
Nie ściskać się, jak w torturze,
Dla ciasnéj sukni lub mody.
Bez okryć głowy i szyi
Nie wybiegać na dziedziniec,
A słuchać panny Julji,
I co radzi pan Odyniec.
Bo choć to zrzędny staruszek,
Lecz że nas kocha jak córki,
Weźmiem na szyję — choć puszek,
Na głowę — choćby kapturki.
Lecz i ty od nas życzenie
Racz przyjąć, pani jedyna!
Dawaj nam wzór w hygienie,
A nie znaj co medycyna.

Grammatyka.

Grammatyka uczy nas mówić;
Lecz by módz i umieć wysłowić,

(*) Imię nauczycielki wykładającéj ten przedmiot.
(**) Nazwisko wykładającego hygienę.

Co dziś czujem dla pani drogiéj,
W liczbie pojedynczéj i mnogiéj:
Na to żadna grammatyka,
Żadnym trybem nic nie nada,
Choć ją nam tak w głowę wkłada
Panna Julja (*) dobrodzika.
Ach! nawet sama wymowa,
Z ust pana Budziłowicza,
Nie więcéj nam sił użycza.
A więc przyjm serca za słowa,
O ty! ty nasza! dla któréj
Imię właściwe jest matki,
Co my, twe duchowe córy,
Przez wszystkie życia przypadki
Widzim, pojmujem i czujem:
I nawzajem, w każdéj dobie,
W każdéj liczbie i osobie,
Myśląc i mówiąc o tobie,
Z słowem *kochać* konjugujem.

Arytmetyka.

Arytmetyka nie zliczy,
Co dziś dla cię sercem szczerém
Całe nasze grono życzy.
Każda z nas była jak zerem,
Nim twe matczyne starania
Dały nam wartość jakową,
Przez wszystkie cztery działania
Nad naszém sercem i głową.
Dodając sił i ochoty,
Odejmując złe nałogi,
Mnożąc w nas dobre przymioty,
A dzieląc nam czas swój drogi
Tak, że każda jego cząstka,
Jest, jak była od początku,
Tém, czém przy zerze jednostka,
Co je wznosi do dziesiątku.
Obyż Jeden w Trzech, co stworzył
I na liczbie oparł świat,
Do stu łaską swą przymnożył
Pociech tobie z nas i lat.

Jeografja.

Każdy człowiek jest swym światem,
Mówi filozof:— a zatém,
Każdy swą, dopóki żyje,
Mieć musi jeografiję.
A jako kraje na ziemi,
Tak i w nim jedne z drugiemi
Uczucia duszy graniczą.
Jak w tobie — dobroć z słodyczą,
Rozum z wiarą, wiara z cnotą,
Cnota z wdziękiem i prostotą,
Miłość ku nam z pobłażaniem.
W nas — miłość z uszanowaniem,
Uszanowanie z ufnością,
Miłość i ufność z wdzięcznością.
Ale ta już granic nié ma,
Lub ich nie dojrzeć oczyma,
Bo wznosząc się toną w Niebie,
W kształcie modlitwy za ciebie.

Historja.

Jednaż Klio ma być niema,
Gdy siostry winszują pani?
Nic-że historja nie ma
Na wiązanie złożyć w dani?
Sameż w niéj wojny zawzięte,
Zdrady, gwałty i łupieże?—
A gdzież święci? a gdzież święte?
Bohatery w cnocie, w wierze,
Jak twa patronka z imienia,
Albo twój patron z wyboru:
Boży miłośnik stworzenia,
Mocarz z ubóstwa nie z zbioru,
Święty wyznawca z Assyżu?
Bóg w nim moc swoję objawił:
Współcierpieć z sobą dał w krzyżu,
Lud i wiek jego w nim wsławił.
A i nam czyliż nie świeci
Odblask cnót jego przez ciebie?
Kochasz nas w Bogu jak dzieci,
Wzór twéj miłości, On—w Niebie.
Jak go więc w duszy głęboko,
Miéj i przed okiem przytomnie,
I sercu twemu niech oko
Dzień ten i nas tu przypomni. (*)
A on sam w krainach ducha,
Obok przy świętéj Teressie.
Niech dziś prośb naszych wysłucha
I przed tron Boga je wzniesie.
A ze świętego oblicza,
I z tych ran jego promiennych,
Niech ci łaska tajemnicza
Spływa w twych modłach codziennych.

(*) Jest to imie osoby wykładającéj ten przedmiot, po niéj, nazwisko wykładającego literaturę.

(*) Przy tych słowach złożony został solenizantce obraz św. Franciszka z Assyżu.

DOM O SIEDMIU WIEŻYCZKACH.

Powieść Amerykańska Nathaniela Hawthorne.

(*Ciąg dalszy*).

Był to odgłos fortepianu sprowadzonego z Europy przez Alicję Pyncheon. Ta piękna Alicja dzieliła czas swój pomiędzy muzykę i kwiaty, lubo same tylko smutne tony wydoby-

wać umiała, a róże i lilje nieraz więdły w jéj ręku. Wychowana była za granicą i nie mogła się jeszcze przyzwyczaić do ówczesnego sposobu życia mieszkańców Nowéj Anglji, ogołoconego z wszelkiego uroku dla duszy miłującéj piękno.

. . . .

Wiedząc jak pan jego niecierpliwie oczekuje przybycia Maule'a, Scipion wprowadził go bez zwłoki do jego komnaty. Był to pokój średniéj wielkości, z oknami zakrytemi prawie zielonym liściem drzew ogrodowych, zastawiony wytwornemi wyrobami paryzkiego kunsztu. Podłoga okryta była cała kobiercem, posianym tak misternemi kwiaty, że mogły uchodzić za prawdziwe; ściany zawieszone obrazami wyborowego pędzla, pomiędzy któremi odznaczał się wizerunek starca w ubiorze właściwym purytanom, o rysach twarzy pełnéj surowéj powagi. Na przeciwnéj stronie rozpięta była karta geograficzna. Przy kominku, płonącym torfowym ogniem, siedział gospodarz pijąc zwolna kawę, ulubiony sobie napój od czasu pobytu we Francyi. Był to człowiek w sile wieku, rysy miał dość przyjemne, mimo ogromnéj jasnéj peruki, suknię błękitną aksamitną, zdobną drogim haftem. Nie poruszył się z miejsca, tylko spojrzawszy na wchodzącego dopijał spokojnie resztę filiżanki; nie było to wyrachowaniem dumy z jego strony, tylko w myśli mu nie postało, aby człowiek podobny jak Maule rościć mógł prawo do jakichkolwiek form grzeczności. Cieśla jednakże, oparłszy się plecami o róg komina, stanął tuż przed nim i wyrzekł:

— Posłałeś pan po mnie, raczże mi powiedzieć czego żądasz, abym prędzéj do zajęć moich mógł powrócić?

— Przepraszam, odparł Pyncheon spokojnie, ale nie sądź abym nie myślał wynagrodzić czasu. Nazywasz się Maule, jeżeli się nie mylę, Tomasz czy Mateusz Maule; jesteś wnukiem czy synem człowieka, który ten dom stawiał?

— Zowię się Mathew Maule, odrzekł cieśla, jestem synem tego, co dom ten budował, a wnukiem właściciela gruntu, na którym stoi.

— Znam spór o którym wspominasz, mówił daléj pan Pyncheon bez najmniejszego wzruszenia, pozwól więc abyśmy go nie odnawiali, skoro był rozstrzygnięty w swoim czasie przez władzę, sprawiedliwie, jak sądzę, a w każdym razie nieodwołalnie. Szczególnym trafem, uraza jaką mi okazujesz, blisko dotyczy sprawy, dla któréj cię zawezwałem.

— Jeżeli możecie wyciągnąć jaką korzyść ze słusznéj urazy człowieka, którego skrzywdzono rodzinę, jest on na wasze usługi.

— Biorę cię za słowo... odparł z uśmiechem Pyncheon i podam zaraz sposób obrócenia na korzyść moję sprawiedliwéj czy niesprawiedliwéj niechęci waszéj. Słyszałeś zapewne o ziemi, którą mój dziadek nabył od dzikich Indjan we wschodnich prowincjach?

— Wspominał o tem nieraz mój ojciec, odparł Maule z dziwnym uśmiechem.

— Sprawa ta była już na ukończeniu w chwili śmierci mego dziadka, mówił daléj pan Pyncheon, zastanowiwszy się trochę nad uśmiechem cieśli. Osoby posiadające jego zaufanie wiedziały że miał wszelką tego pewność, a nadto jeszcze samo usposobienie pułkownika jest rękojmią że nie łudziłby się próżnemi nadziejami. Stąd więc wnoszę, wraz z prawnikami, którzy się tém zajmowali, że dziadek mój posiadać musiał jakiś akt zabezpieczający mu tę własność który wraz ze śmiercią jego zaginął.

— Nic bardziéj prawdopodobnego, rzekł Mathew Maule uśmiechając się znów ponuro. Ale w jakiż sposób prosty cieśla, jak ja, może być w czém użytecznym wielkiéj sprawie rodziny Pyncheon? Na cóż wam mogę się przydać?

— Może na nic, ale być może i przeciwnie.

W ten sposób rozpoczęła się długa rozmowa pomiędzy panem Pyncheon i cieślą, w któréj pierwszy dał do zrozumienia, że opiérając się na tém, co głoszono ogólnie, przypuszcza, że może ojciec jego w wigilją lub w dzień śmierci pułkownika miał jaką czynność w jego pokoju, a ponieważ papiéry leżały tam zwykle na stole, zatem mógł wiedziéć gdzieby się podziały. Jakkolwiek pan Gerwazy Pyncheon wyrażał się bardzo oględnie, jednakże Mathew Maule zrozumiał dobrze o co rzecz idzie.

— Mój ojciec, rzekł zawsze z owym tajemniczym uśmiechem, mój ojciec był uczciwszym człowiekiem od starego pułkownika z zakrwawioną dłonią; gdyby nawet wiedział iż w ten sposób odzyska swe mienie, nie skradłby pewno tych papiérów!

— Nie będę się spiérał o to odparł z dumnym spokojem zcudzoziemczały potomek Pyncheonów; nie powinienem bowiem czuć się dotkniętym zarzutami przeciw memu dziadkowi lub nawet przeciw mnie samemu, wymierzonemi przez człowieka twego stanu, z którym zamierzywszy się porozumiéć, przyjąć muszę wszelkie wynikające z tego powodu nieprzyjemności.

Późniéj, jak opowiada legenda, wyniosły pan, który marzył o podniesieniu zadłużonego majątku, o tytule milorda Pyncheon i hrabiego Waldo, w razie gdyby odzyskał ów obszar ziemi, czynił obietnice bogatego wynagrodzenia cieśli za wykrycie zagubionego aktu, podobno nawet stanęło na tem, że mu odda w zamian cały dom o siedmiu wieżyczkach. Mathew Maule przyobiecał czynić starania, żądał jednakże widziéć pierwéj Alicję. Tą razą rozgniewał się naprawdę pan Pyncheon, nie pojmując w czém jego córka mogła być pomocną w téj sprawie; gdy jednakże cieśla przełożył mu, że może powziąć potrzebną wiadomość jedynie za pośrednictwem pięknéj Alicji, przystał na to żądanie i zawezwać ją rozkazał. Alicja Pyncheon przybyła wkrótce w całym blasku swéj arystokratycznéj piękności, którą dziś jeszcze podziwiać możemy w Chatsworth

u księcia Devonshire, gdzie się znajduje jéj portret pędzla szkoły weneckiéj, zostawiony tamże zapewne przez ojca w nadziei powrotu do Europy.

Jeżeli istniała kiedykolwiek kobiéta, posiadająca wrodzony wdzięk szlachetności, dzielący ją od gminu pewnym rodzajem słodkiéj chociaż dumnéj powagi, była nią bezwątpienia Alicja. Wszedłszy do pokoju ojca, zwróciła mimowolnie uwagę na oryginalną postawę Maule'a i przez kilka minut patrzała nań wzrokiem artysty, podziwiającego piękny posąg. Na nieszczęście cieśla nie pojął pochlebnego znaczenia jéj spojrzeń i uczuł się niemi obrażonym srodze.

— Czegóż ta dziewczyna patrzy tak na mnie jak gdybym był psem lub koniem, pomyślał zaciskając zęby; ale potrafię jéj dowieść że jestem także człowiekiem!

— Przywołałeś mię ojcze, ozwała się młoda dziewica głosem harmonijnym jak dźwięk harfy, lecz widzę że masz do czynienia z tym panem; pozwól mi więc odejść, bo wiész jak nie lubię twego gabinetu, pomimo tego pięknego Claude Lorraina, który ma mi przypominać szczęśliwszé czasy mego życia.

Pan Pyncheon wytłomaczył jak mógł córce o co rzecz idzie i prosił aby odpowiadała na pytania Maule'a, zastawując do jéj woli przerwanie z nim rozmowy skoro to uzna za stosowne.

— Miss Alicja, wtrącił Maule z dwornością pomieszaną z lekkim cieniem szyderstwa, powinna być spokojną pod skrzydłem ojcowskiéj opieki.

— Obecność mego ojca jest bezwątpienia dostateczną dla mnie rękojmią bezpieczeństwa, odparła miss Pyncheon, lubo wyznaję, dodała z godnością właściwą dziewicy szlachetnego rodu, że nie pojmuję czego się może obawiać kobiéta, która czuwa sama nad sobą.

Biédna Alicjo! fatalnym jakimś zbiegiem okoliczności wyzywała do walki nieznaną sobie siłę.

— Usiądź więc miss Alicjo, rzekł Maule, podając jéj krzesło z wielkim wdziękiem, jak na prostego rzemieślnika, a teraz racz mi przez chwilę patrzéć prosto w oczy. Alicja uczyniła zadość temu wezwaniu. Dumna przewagą wielkiéj piękności i wysokiego położenia w społeczeństwie, nie ulękła się złowrogiego wpływu, jaki Maule na nią wywiérać zamyślał, choć go odgadywała może. Pan Pyncheon odwrócony tymczasem do ściany wpatrywał się niby z uwagą w krajobraz Claude Lorrain'a, lecz rzeczywiście głównie zajęty był myślą o nadprzyrodzonych darach, jakie przypisywano rodzinie Maule'a. Długi pobyt zagranicą i stosunki jakie tam miéwał z ówczesnemi mędrkami, wykorzeniły w nim po części przesądy purytańskie, właściwe wtedy amerykanom, niemógł jednakże zapomnieć łatwo, że stary Maule poniósł śmierć na rusztowaniu i przekazał potomkom nienawiść dla Pyncheonów i że właśnie w téj chwili wnuk czarownika miał w mocy swéj jego córkę. Nie mogąc ustać dłużéj spokojnie, po niejakim czasie odwrócił głowę i dostrzegł w lustrze że cieśla oddalony o kilka kroków od Alicji podnosił i spuszczał kolejno ręce w powietrzu, jak gdyby chciał zarzucić na nią jakąś niewidzialną osłonę.

— Dość tego! wstrzymaj się! zawołał przerażony.

— Proszę cię ojcze, nie przeszkadzaj mu, ozwała się Alicja, wszystko to nic mi szkodzić niemoże.

Znów więc zaczął w patrywać się w Claude Lorrain'a zaspokojony myślą że córka sama chciała przeciągać próby. Wszakże dla niéj jedynie pragnął odzyskać utracone bogactwa, a wreście choćby Maule i samego djabła miał wywołać, niewinność Alicji była jéj dostateczną obroną. Uposażona hrabstwem Waldo, zawarłaby pewno śluby małżeńskie z największym panem angielskim, albo udzielnym księciem niemieckim, inaczéj zaś mogła jedynie zostać towarzyszką amerykańskiego pastora lub prawnika.

Zajęty fantastycznemi urojeniami swéj dumy, ojciec nie odwrócił się już potem nawet wtedy, gdy córka wydała słaby okrzyk, chociaż głos ten wzywający niby pomocy, boleśnie odbił się w jego sercu.

Po chwili Maule przerwał milczenie.

— Patrz pan teraz na córkę wyrzekł.

Pyncheon odwrócił się śpiesznie. Cieśla stał przed krzesłem Alicji, wskazując na nią z wyrazem dumnego zadowolnienia. Młoda dziewica zdawała się pogrążona w śnie głębokim, długie czarne jéj rzęsy przysłaniały całkiem piękne oczy.

— Mów do niéj teraz.

— Alicjo, drogie dziecię moje, ozwał się z czułością Pyncheon.

Nieporuszyła się.

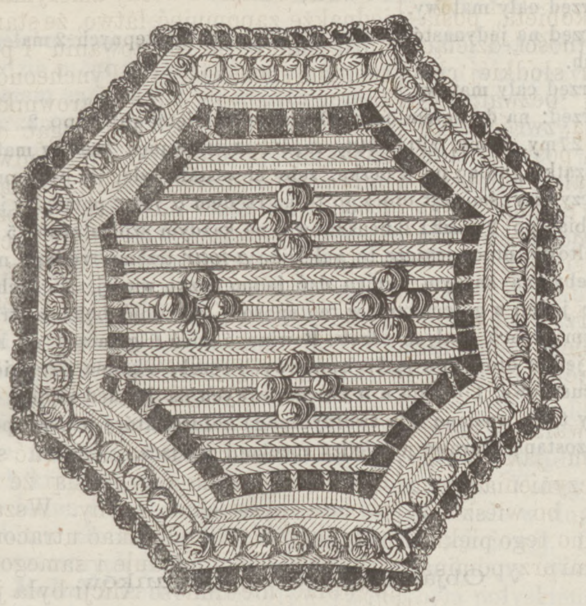
— Głośniéj, rzekł Maule z uśmiechem.

— Obudz się Alicjo! sprawiasz mi wielką przykrość, zawołał ojciec przerażony, a głos jego niedochodził jéj uszu.

— Wstrząśnij ją, gdyby nie to, że mam ręce zgrubiałe od pracy, sam bym ci w tém dopomógł.

(*d. c. n.*)

Dodatek do Zeszytu XXI. Kółka Domowego.



Ośmiokątna rozeta z bawełny, szydełkową robotą.

Zaczniesz od ośmiokąta środkowego po ukończeniu którego zrobisz otoczenie.

1szy rzęd: zrób łańcuszek 13cie oczek, na nim zrób 4 rzędy matowych oczek, odwracając robotę na obie strony bez odcinania nitki, przy początku i końcu przybiéraj po jedném oczku.

5ty rzęd zaczniéj jak czwarty, kiedy dojdziesz do dziesiątego oczka zrób w nim 3 długie oczka, to jest, że okręcisz nitkę około szydełka i przeciągniesz raz przez okrętkę drugi raz przez oczko; daléj gładko matowo.

6ty rzęd matowo tylko; jak dojdziesz do 3ch długich oczek wypuść je przed igłę szydełkową, omiń a weź małe matowe co po nich następują; tym sposobem miéć będziesz wypukłość jak na wzorze. Przypominam że trzeba ciągle wskazanym porządkiem przybierać.

7my rzęd na jedenastém oczku zrób 3 długie, 2 małe, 3 długie, dalej matowe do końca.

8my rzęd cały matowy jak szósty.

9ty rzęd: na czternastém oczku zrób 3 długie.

10ty, 11ty 12ty: wszystkie trzy rzędy matowe z przybraniem po 1 oczku przy początku i końcu.

13ty rzęd: na ósmém matowém oczku, 3 oczka długie, potém zrób 16 oczek małych matowych, w siedemnastém oczku 3 długie, reszta matowe odtąd już nie przybiéraj niech pozostanie liczba oczek jak w rzędzie dwunastym.

14ty rzęd: wszystkie oczka matowe.

15ty rzęd: na szóstém oczku 3 długie, dwa następne małe, znów 3 długie, 12 małych, 3 długie, 2 małe, 3 długie reszta małych.

16ty rzęd cały matowy.

17ty rzęd na ósmem oczku 3 długie, 16 małych, na siedmnastém 3 długie, reszta małe matowe.

18ty, 19ty, 20ty rzęd: wszystkie trzy rzędy bez przybierania matowe.

21szy rzęd zacznij gubić po jednym przy końcu i początku na czternastym oczku, 3 długie reszta małych.

22gi rzęd cały matowy.

23ci rzęd na jedynastém oczkn 3 długie, na następnych 2 małe, znów 3 długie, reszta małych.

24ty rzęd cały matowy.

25ty rzęd: na dzisiątém oczku 3 długie, pamiętaj gubić po 2.

26ty, 27my, 28my, 29ty, 30ty rzęd: wszystkie pięć rzędów matowemi oczkami jak przy początku gubiąc po 2 oczka, żeby ci zostało tyle, ile było przy początkn.

Ukończywszy ośmiokąt otocz go teraz rzędem *a jour* pomiędzy jednym a drugim słupkiem robiąc po 2 oczka łańcuszkowe; na każdym szpicu zrób 5 oczek a słupek postaw dubeltowy, otocz jeszcze tę galerjikę *a jour* trzema rzędami matowemi mając na uwadze żeby na każdym szpicu dać jedno oczko więcéj. Na tych trzech rzędach dasz jeszcze jeden z gałeczkami w ten sposób, że robić będziesz trzy długie oczka, z oddzieleniem trzech małych oczek. Powinnaś mieć 6 gałaczek na każden ośmiokąt jeszcze zrób jedno otoczenie małych matowych oczek, w końcu ostatnie *a jour* to jest 2 oczka łańcuszkowe, 1 długie a 5 łańcuszkowych na każden szpic.

Rozety takie spajane igłą tworzyć mogą kołdrę, którą podszyć potrzeba kolorowo, gdyż pozostaną ażurowe pomiędzy rozetami miejsca.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Kaftanik ranny batystowy, do którego dodany deseń medalionowy do haftu *a jour* ściegiem gipiurowym; linijki oznaczone mają być dziergane, gdzie punkcik tam wyciąć batyst.

Nr. 2. Medaliony do przodu.

Nr. 3. Kołnierzyk wykładany.

Nr. 4. Klapka do rękawa.

Nr. 5—6. Pantofel; aplikacja z sukna lub aksamitu; środkowy deseń haftowany atłaskiem, jedwabiem kolorowym.

Nr. 8. Cyfra N. B. aplikacja z sukna na czaprak.

Nr. 9. Kapa do przykrycia poduszki.

Nr. 10—11. Kołnierzyk i mankiety.

Nr. 12—16. Szlarki do koszul.

Nr. 17. Wstawka do kaftanika.

Nr. 18—25. Cyfry podwójne i pojedyncze.

Nr. 26. Alfabet.

Nr. 27. Szlak do wyszycia galonem albo szmuklerską tasiemką i wązkim sznureczkiem do burnusów sukiennych, albo do serwet przykrywających stoły.

Nr. 28. Bogaty szlak do Alby; aplikacia muślinu na tiulu koronkowym.

Nr. 29. Rękaw do Alby.

Nr. 30. Ten deseń może być albo w całéj szerokości na róg chustki od nosa i kapy do poduszek, albo można użyć tylko zębów z bukiecikiem, a poprzeczny zębowy deseń dać na wstawkę do kaftaników.

Nr. 31—32. Kołnierzyk i mankiet haft atłaskowy.

Nr. 33—34—35. Szlarki i wstawka.

Nr. 36—37. Sukienka dla siedmioletniéj panienki z ubraniem z przodu i z tyłu.

O UBIORACH.

Kto zechce zrobić jakie odmiany w swéj garderobie w tych czasach, nie będzie mógł poskarżyć się na brak wyboru w magazynach naszych, każdy bowiem zaopatrzył się w materjały i kroje ubiorów, na jakie tylko stać było przemysł i modę. Dla tego też i my przyłączamy tu prośbę do naszych prenumeratorek, aby, jeżeli mają żądać od nas jakich sprawunków, zgłaszały się w tych czasach odnawiania zapasów sklepowych na wiosnę i jesień, łatwéj nam bowiem dogodzić ich wymaganiom, niż późniéj, kiedy, jak to często bywa, przedmioty żądane, a wymienione poprzednio w naszém piśmie, już wykupione zostały.

Zwiedzałyśmy w tych dniach magazyn p. Pękali, aby zdać sprawę czytelniczkom naszym co tam znaleźć mogą i wyznajemy żeśmy widziały artykuły ubioru zdolne zadowolnić najróżnorodniejsze wymagania. Dla osób nie chcących zrobić wielkiego wydatku, są wcale gustowne materjały na suknie jaśniejsze lub ciemne, prążkowane lub mienione, pięć ćwierci łokcia szerokie na 55 kopiejek łokieć; gęściejsza nieco materja wełniana zwana *Lincoln*, mieniona, łokieć po kop. 60, inna znów wyglądająca niby sukienko z dwóch krzyżujących się kolorów złożona zwana *Volsey* także po 60 kop. bardzo ładne na zebrania wieczorne, bareże białe w duże centki kolorowe przerabiane złotem po kop. 60, szerokości łokciowéj. Daléj jeszcze z nie zbyt kosztownych możemy wymienić fular wełniany *chiné* po 90 kopiejek łokieć, *Makao* z wełny kamelorowéj z pięknym połyskiem w takiejże saméj cenie i również drogie *drap cristal*, w którym czarny kolor z białym się miesza. Kto zaś chcąc mieć wyborowy i trwały gatunek materji, nie cofa się przed większym wydatkiem, znajdzie korcik pleciony łokci 2 i pół szeroki po 3 ruble łokieć, oraz przeróżne w téj cenie kolorowe a gustowne flanelki. Śliczne fulary jasne mogące służyć na wieczorowe ubrania, są w cenie od 23 do 30 rubli suknia, które wybrać można według upodobania w bukieciki lub paski szersze czy węższe. Wspaniałe też są materje jedwabne w połyskliwe pasy atłasowe, o których cenie przemilczéć wolimy, żeby nas nie posądzono że namawiamy do zbytkowych wydatków, jak to nas czasem spotyka od tych nawet, co po głośnych deklamacjach robią podobneż wydatki cichaczem.

Oglądałyśmy także wierzchy przygotowane do salop futrzanych. Czarny jedwabny z materji zwanéj *gros d'Edimboury* kosztował rs. 60. Ma się rozumiéć że według materjału, droższy lub tańszy (jeżeli zwłaszcza wełniany) miéć można. Krój ich kolisty odznaczał się dużym fałdem z tyłu dającym zgrabny kształt całości. Z przodu rękawki małe obcisłe, pokryte były drugiemi obszernemi, spadającemi od ramion nakształt klapy kończącéj się na przodzie i z tyłu śpiczastemi zębami zakończonemi kwastem. Płaszczyki watowane tak miłe w użyciu zaczynają być bardzo noszone, nie wyrugają jednak syberyny. Płaszczyk rotonda jedwabny czarny, z takąż pikowaną podszewką kosztuje rs. 45; syberynowe zaś okrycia taniéj miéć można; jednak suty paletot puszczony z wyborowego materjału, z wystrojem z astrachanu kosztuje rs. 35. Niezmiernie zgrabny surducik z klapkami i dużemi guzami nazwany Esmeralda obszyty wązko, czarném świécącém futerkiem, był w cenie 27 rubli. Jest wyborny na okrycia zimowe, miękki, puszysty materjał zwany wełnianym aksamitem, z którego wyroby wprawdzie są droższe, lecz za to piękne. I tak np. jakiś rodzaj kaftana, ciemno szafirowy wcięty do pasa, otoczony niby szlakiem, naszyciami z czarnéj taśmy, z zakończeniem z frendzli, co razem kształtną i gustowną tworzyło całość, dochodził w cenie do 45 rs. Drugi zwany *Vasco* z szarfami naszytemi dżetem (lawą(

spadającemi od ramion, z kapturem śpiczastym wynosił 32 rs. Było także kształtne okrycie bronzowe zwane *Rienzi*, istny kaftan włoskiego bandyty z kapturem, którego wyłogi wycięte śpiczasto, tworzyły razem z końcem kaptura trzy zęby kwastami zakończone. Cena jego oznaczona była na 30 rs. Lecz są tam także i tanie a ciepłe okrywki, z materjału grubego wełnianego, dość wprawdzie krótkie, w cenie 15 rs., nie trzeba się tylko dziwić, gdy w porównaniu z droższemi tracą.

Pojawiło się téj jesieni dużo czarnych aksamitnych okryć, lekko watowanych, zdobnych spadającemi na ramiona lub plecy szarfami z dżetem, lecz te są nie dla każdego dostępne, tańszych bowiem nad 80 rs. nie widziałyśmy. Wigoniowe beduiny mogące być używane na dwie strony, ciemniejszą i jasną kosztują 50 rs. Paletotów zwyczajnych syberynowych pół wciętych lub wolno puszczonych, dostać można po 25 rs.

Sukien gotowych także znaczny oglądałyśmy zapas, co jest bardzo dogodném dla nabywającéj, tém bardziéj, że tyle używany teraz krój kolisty zwany *Gabrjella* jest trudnym do wykonania przez domowe szwaczki. Przytem i pomysły do wystroju mają obfitsze w magazynach gdzie w wielkiéj ilości różne wyrabiają ubiory. Nader gustownie przybrane aksamitem lub jedwabnemi galonami z tureckim deseniem takie *Gabrjelle*, mieć można ze średnich materjałów w cenie od 20 do 30 rs. Kaszmirowa zaś fijołkowa roztwiérana jako strój ranny, przeznaczona do kosztownéj wyprawy, z pełnym wdzięku wystrojem, którą oglądałyśmy u pana Pękali, kosztowała rs. 40. Szlafroczek *Pompadour* z fałdem z tyłu, który spadał puszczony wolno od samego karku, podczas kiedy reszta szlafroczka ujęta była w pasek zakończony z przodu szarfami, był w cenie rs. 30.

Na zakończenie sprawozdania o tym magazynie, wspomnieć wypada o licznym zapasie koronek *Cluny*, zakupionych z piérwszéj ręki w górach Wogezach, gdzie je wyrabiają, a przeto mogącemi być tu sprzedane po niższych cenach. Koronka ta trwała, przypominająca przejrzystym i grubym swym deseniem gipiurę, jest teraz jak wiadomo bardzo używana, tak dobrze do bielizny jak do sukien jedwabnych strojnych, a pierze się łatwo, nie zawadzi więc wspomnieć o niéj czytelniczkom. Są wązkie wstawki na złoty łokieć, na półtora nieco szersze obszycie w ząbki. Już piękna koronka blisko na trzy palce szeroka, jest na pięć złotych. Kołnierzyki w cenie od rubla do 2 i pół rubli. Dwa ruble bardzo piękne obszycie przygotowane stosownie do kołnierzyka i mankietów płóciennych.

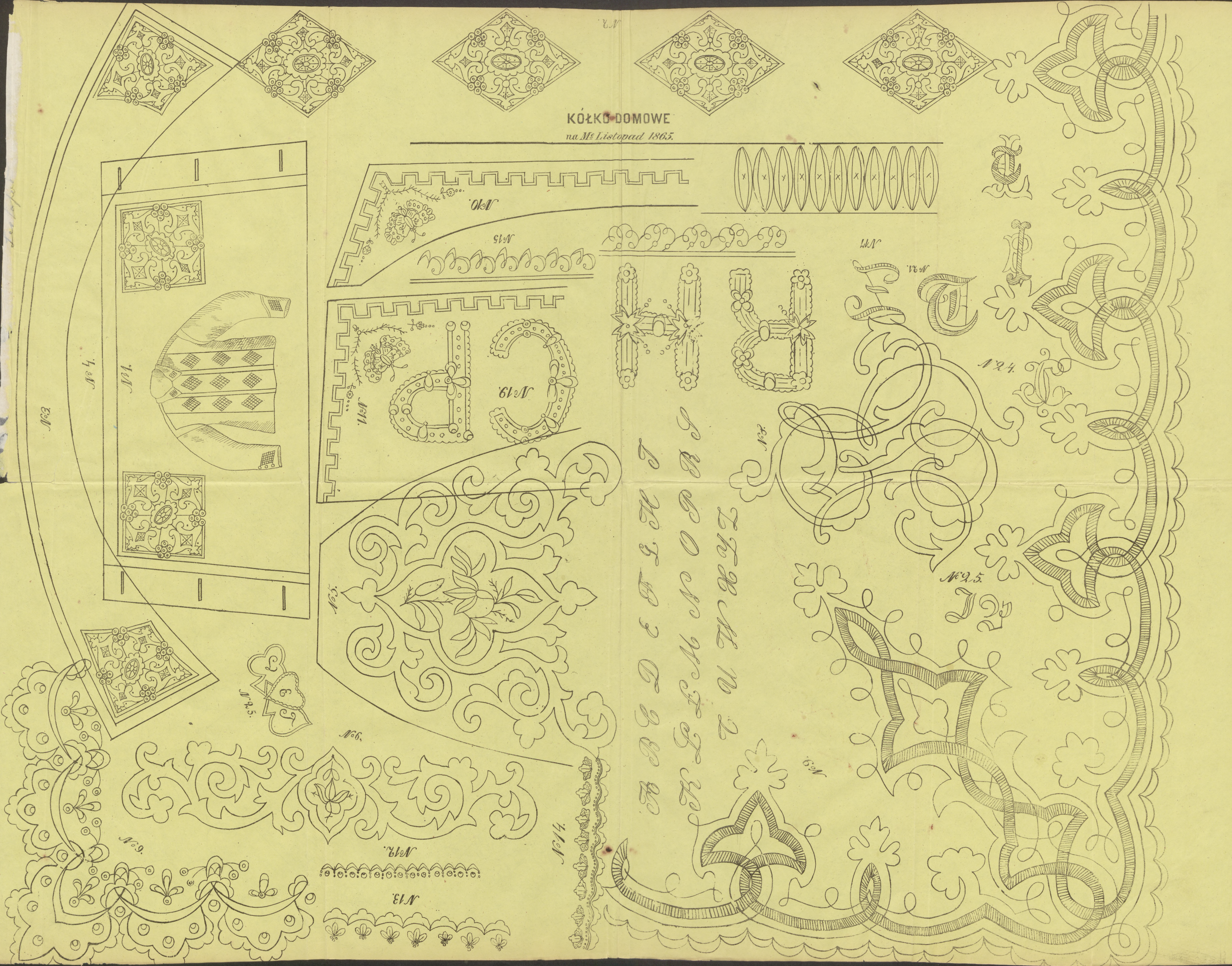
PRZEPISY GOSPODARSKIE.

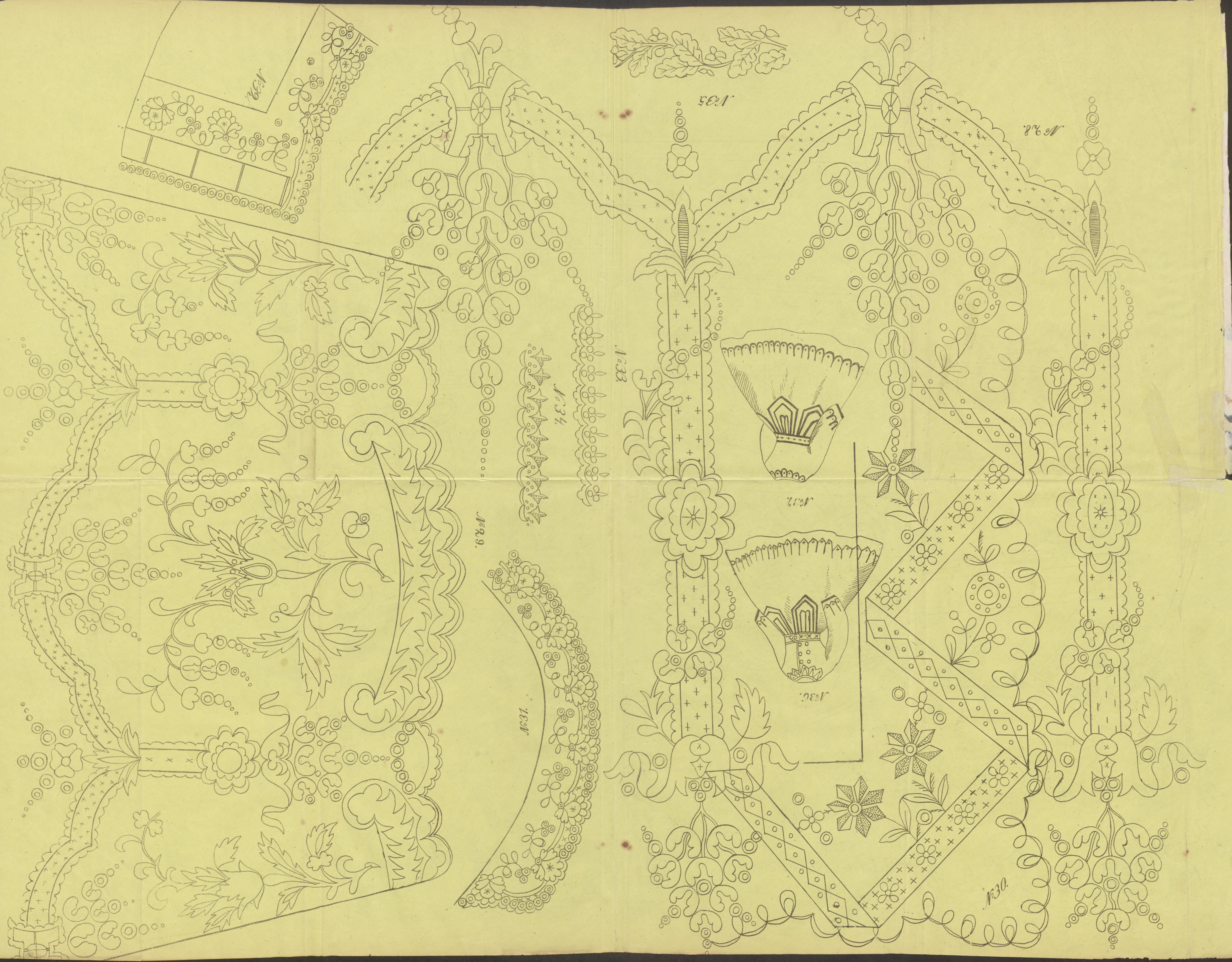
Salami na długą konserwę.

Wołowiny funtów 8, wieprzowiny funtów 8, cielęciny funtów 4, słoniny funt 1, soli i korzeni do smaku, czosnku główek 2, saletry łutów 2. Mięso wyżyłować, poskrobać jak najdrobniéj i dolawszy kwartę wody i kwaterkę dobréj okowity, spirytusu, araku lub węgierskiego wina, trzeć przez godzinę w makutrze na pulchną massę. Utarłszy, dodać uskrobaną lub drobno usiekaną słoninę, korzenie, sól, saletrę, wymięszać rękami, włożyć w worek od sera, przycisnąć kamieniem niezbyt ciężkim, żeby sok z mięsa nie spływał i 24 godzin trzymać na zimnie. Potém mocno napełniać tém wołowe lub wieprzowe kiszki, (jedne i drugie powinny być wpierw namoczone w słonéj wodzie po połowie rozwiedzionéj okowitą) wałkować je na stolnicy, osuszyć parę godzin na wietrze i trzymać 2 tygodnie w letnim dymie. Jeżeli są bez cielęciny, można je podawać na surowo, w przeciwnym razie opiekać jak serdelki; z cielęciną smaczniejsze, ale nie tak długo się konserwują.

KÓŁKO DOMOWE

na Mc Listopad 1865.




№ 28.
№ 29.
№ 30.
№ 31.
№ 32.
№ 33.
№ 34.
№ 35.
№ 36.
№ 37.